

Bolesław Srocki: Przed pierwszym czytaniem. *m. p.:* Moskiewski protokół. *K. Zakrzewski:* Liberalizm gospodarczy, etatyzm, syndykalizm. *Krzewski:* W sieci niebezpiecznej utopji. *Tadeusz Walek-Czernecki:* Brytania przed wyborami. *J. Szurig:* Sytuacja parlamentarna we Francji. *A. O.:* O poziom dyskusji. *Z. Tom.:* Etapy pracy twórczej. *W. Horzyca:* Fantazy. *F. Araszkiewicz:* Niedobra miłość. „Droga“.

CENA 50 GROSZY

PRZED CZYTANIEM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK IV

PRZED PIERWSZYM CZYTANIEM

Sejm dzisiejszy ma możność „dobrze zasłużyć się Ojczyźnie“; dokona tego jednak tylko wtedy, jeśli będzie umiał wznieść się ponad atmosferę politycznego rozgrywania bieżącej sytuacji przy rozwiązywaniu zagadnień, których działanie wybiega poza tę sytuację.

Projekt rewizji Konstytucji, zgłoszony przez Blok Bezpartyjny, wywołał, jak było do przewidzenia, ożywioną dyskusję, stając się naczelnym zagadnieniem całego okresu.

Dyskusja ta, zbyt bogata, by można było rozpatrywać ją szczegółowo, niedostatecznie skryształizowana i zamknięta, by można było kusić się o jej syntezę — uzewnętrzniła jednak pewne charakterystyczne momenty, zasługujące na podkreślenie i uwagę.

A więc, przedewszystkiem, ton jej, szczególnie w pierwszym okresie, był niesłychanie agresywny i zaczepny. Tej ostrości, z którą starano się określić i skwalifikować całość projektu, nie można wytłumaczyć tylko istotną różnicą zdań w ocenie, czy poszczególne jego punkty są, lub nie są, najszcześniejszą formą rozwiązania pewnych zagadnień naszego życia.

Genezy tej ostrości znowu należy szukać gdzieindziej, a nie w istotnych punktach, usprawiedliwiających taką, czy inną ocenę całego projektu. Strzały, skierowane w tym kierunku, określenia, mające wyrazić oburzenie i potępienie na takie, czy inne „pomysły konstytucyjne“, wszystko to wymierzone było dalej, niżeli tylko w stronę zgłoszonych przez Blok Bezpartyjny poprawek do Konstytucji.

Znów dokonano jednego zasadniczego uproszczenia. Powiedziano sobie: Projekt ten może służyć do utrzymania przy władzy ludzi, którzy dziś w Polsce rządzą, a więc stosunek nasz do niego musi być odpowiednio ostry i negatywny.

I oczywiście przy takim punkcie wyjścia nieuniknioną koniecznością musi być zbłądzenie na manowce. Jeśli

chce się naprawdę szukać rozwiązania naszych konstytucyjnych bolączek — to nie można tego robić pod hasłem, kto będzie w Polsce rządził, ale raz wreszcie trzeba zdobyć się na zasadniczy punkt widzenia, co zrobić, aby Polska mogła być konstytucyjnie rządzona.

Bo jeśli będziemy wzajemnie ograniczać naszą dobrą wolę przy rozwiązywaniu zagadnień konstytucyjnych obawą przed momentem, kiedy w kraju będzie rządził obóz politycznie nam przeciwny — to stwarzamy stan, z którego naturalnem wyjściem prędzej czy później stanie się anarchja lub dyktatura.

Bo póki władza konstytucyjnie będzie spoczywała na ulicy, to zawsze będzie istniała ewentualność, że ktoś tę władzę będzie chciał podjąć, lub podjąć będzie zmuszony. Nie mówimy tutaj specjalnie pod kątem widzenia chwili ściśle dzisiejszej. Ostrzegamy tylko przed niezależnym od ludzi i od przejściowych warunków normalnym następstwem takiego układu stosunków, przy którym słabość władzy ma być dogmatem demokracji politycznej.

Sejm dzisiejszy ma możność „dobrze zasłużyć się Ojczyźnie“. Dokona tego jednak tylko wtedy, jeśli będzie umiał wznieść się ponad atmosferę politycznego rozgrywania bieżącej sytuacji, przy rozwiązywaniu zagadnień, których działanie wybiega poza tę sytuację.

Nawet najbardziej praktycznym politykom, jeśli mają oni sprostać odpowiedzialności dnia jutrzejszego, nie wolno jest zapominać, że polityka winna służyć historii i że nie wolno jej za cenę przemijających korzyści sprzedawać tego, co jest wartością trwałą: podstawowych warunków siły własnego państwa.

Bolesław Srocki

MOSKIEWSKI PROTOKÓŁ

„Podpisaliśmy protokół, stanowiący krok naprzód na drodze wzajemnego zbliżenia się krajów, które reprezentujemy. Jest to jednocześnie nowy krok naprzód na drodze do zagwarantowania światu tego pokoju, o którym mówi pakt Kellogga. Pod tym względem protokół przez nas podpisany ma charakter prowizoryczny i przyspieszający zastosowanie paktu w praktyce życiowej; jednakże nawet wtedy, gdy pakt Kellogga uprawomocni się zgodnie ze swoim art. 3-cim, to i wówczas protokół ten pozostanie na zawsze pięknym wspomnieniem i dowodem naszych najlepszych pokojowych tendencji i wysiłków energii naszej w kierunku zrealizowania idei pokoju światowego“...

(Z przemówienia p. Patka w Moskwie w dniu podpisania protokołu).

Sześciotygodniowa wymiana zdań między rządem Związku Socjalistycznych Republik Rad i rządem polskim w sprawie propozycji p. Litwinowa z dnia 29 grudnia ub. roku, doprowadziła do podpisania w dniu 9 lutego w Moskwie antywojennego protokołu pomiędzy Estonją, Łotwą, Polską, Rumunją i Związkiem Sowieckim.

Jeżeli końcowy etap tego dzieła porównamy pod względem politycznym z jego punktem wyjściowym, to rzuci nam się w oczy kolosalna różnica jaka zachodzi pomiędzy propozycją sowiecką, a jej realizacją, będącą wyłącznie tylko dziełem polskiej dyplomacji, która nie bez trudu — nietylko tę propozycję zmodyfikowała, ale gruntownie ją przeinaczyła.

Nie mamy potrzeby analizować na tem miejscu ani genezy, ani istoty propozycji rządu moskiewskiego z dnia 29 grudnia ub. roku. Ciekawych tego zagadnienia odsyłamy do artykułu „Przełomu“ p. t. „Antywojenny pakt p. Litwinowa“, opublikowanego w numerze 3-im z 20 stycznia b. r. Ograniczymy się przeto obecnie do podkreślenia tych zagadnień, które wyrosły z ognia dyskusji polsko-sowieckiej oraz z wymiany zdań między Polską a Rumunją i państwami Bałtyckimi i które stanowią istotę ostatniego projektu protokołu.

Pamiętamy, iż pierwotny projekt p. Litwinowa skierowany był tylko do Polski i Litwy, które wystąpić miały w charakterze niejako pierwotnych sygnatarjuszy, przemilczał natomiast zupełnie Rumunję, oraz spychał na miejsce drugorzędne Łotwę, Estonję i Finlandję pod pozorem, iż te trzy państwa nie zgłosiły dotychczas akcesu do paktu Kellogga, względnie ich stanowisko w stosunku do tego paktu jest wysoce niejasne i nieokreślone. Pomijając już zupełną nieścisłość tego twierdzenia wobec faktu, iż wszystkie trzy państwa Bałtyckie akces ten oddawna już zgłosiły, pomijając wreszcie to, iż tak ujęta propozycja sowiecka stała w rażącej sprzeczności z podstawową ideją protokołu, którą według własnych słów p. Litwinowa ma być dążenie do pacyfikacji stosunków Rosji Sowieckiej „z jej najbliższymi sąsiadami“. Polska w sposób jasny i stanowczy oświadczyła, iż jakiegokolwiek różniczkowanie państw sąsiadujących od zachodu z Rosją jest rzeczą wysoce sztuczną i niczem nieusprawiedliwioną z politycznego punktu widzenia, choć może iść na rękę dyplomacji sowieckiej dość pogardliwie odnoszącej się do tak zwanych „limitropów“. W konsekwencji powyższego Polska domagała się skierowania propozycji sowieckiej bezpośrednio również do tych państw oraz pośrednio przez Polskę do Rumunji, biorąc pod uwagę, iż nie istnieją dotychczas żadne stosunki dyplomatyczne pomiędzy Związkiem Socjalistycznych Republik Rad i tem państwem.

Ten postulat równorzędności wszystkich państw sąsiadujących z Rosją jest jedną z podstawowych zasad polskiej

polityki nietylko zresztą w odniesieniu do Rosji. Ma on już swoją historję, że wystarczy przypomnieć choćby sprawę rokowań polsko-sowieckich o pakt o nieagresji. Jest on dowodem, iż Polska w swych stosunkach z państwami mniejszemi nietylko nie stara się o przewagę nad nimi, lecz przeciwnie dba o to, by były one traktowane z należyłą powagą i godnością przez innych. W danym wypadku do momentu ściśle zasadniczego przyłączał się również inny o charakterze bardziej praktycznym. A mianowicie ograniczanie protokołu tylko do Rosji i Polski stawiałoby państwa Bałtyckie, a w szczególności Rumunję, w obliczu zwiększonego niebezpieczeństwa ze strony Rosji, boć przecież jasną jest rzeczą, iż nacisk Sowieców na Polskę siłą rzeczy musi być mniejszy niż nacisk ich na państwa małe, jak Finlandja, Estonja i Łotwa, względnie większe jak Rumunja, z którą jednak Rosja ma do dnia dzisiejszego nieuregulowany zatarg o Besarabję.

Stwierdzić możemy, że Polska przeprowadziła w całej pełni swój postulat o skierowaniu zaproszeń sowieckich również i do wyżej wymienionych państw. Tem samym został pokonany opór rządu sowieckiego przeciwko równorzędności wszystkich państw, opór trwający od lat wielu, a ponadto został uznany polski punkt widzenia, iż pacyfikacja stosunków w Europie Wschodniej może być osiągnięta jedynie za cenę paktu wielostronnego, a nie dwustronnego, czyli polsko-sowieckiego, choć niewątpliwie stosunki między Polską i Związkiem Socjalistycznych Republik Rad są podstawowym trzonem tej pacyfikacji.

Jako następny z kolei sukces polskiej myśli politycznej trzeba podkreślić aprobatę rządu sowieckiego na wciągnięcie do wspólnego protokołu Rumunji. Pamięci czytelnika należy przypomnieć, iż Rosja jest w zatargu politycznym z Rumunją z powodu oderwania przez nią Bessarabji. Rosja Sowiecka nie uznaje dotychczas stanu terytorjalnego, istniejącego między nią i Rumunją i jeszcze w 1919 r. wystosowała do Rumunji dwa ultimata wojenne, które nota bene pozostały bez odpowiedzi. Podpisując obecnie wspólnie z Rumunją antywojenny pakt, rząd sowiecki stwierdza w preambule'u nietylko istnienie stanu pokojowego między obu państwami, lecz ponadto wyrzeka się regulacji sporu przy pomocy środków wojennych.

W dalszym ciągu należy zaznaczyć, że protokół p. Litwinowa nabrał charakteru określonego przez uznanie, iż jego moc trwania rozciąga się tylko do czasu wejścia w życie paktu Kellogga. Podkreślaliśmy już dawniej, iż w propozycji rządu sowieckiego chęć przyspieszenia wejścia w życie tego paktu mogła być osiągnięta tylko za cenę zwięzienia go w sensie terytorjalnym, czyli innymi słowy jeden z największych walorów paktu Kellogga to jest jego powszechność została zastąpiona regionalizmem.

O ile przyspieszenie mocy paktu z dnia 27 sierpnia ub. roku szło całkowicie po linii polskich życzeń, o tyle zwięźanie go nie leżało ani w interesie Polski, ani w interesie Rumunii i państw Bałtyckich, ani w interesie pierwotnych sygnatarjuszy paktu. Stronę dodatnią protokołu p. Litwinowa należało więc pogodzić z tem niebezpieczeństwem, jakie wypływało z jego terytorjalności. Osiągnięto to dzięki inicjatywie Polski przez stwierdzenie w drugiej nocy rządu sowieckiego z dnia 11 stycznia b. r., iż protokół będzie pochłonięty przez pakt Kelloga w tym momencie, skoro zgodnie z brzmieniem artykułu 3-go paktu wszyscy pierwotni sygnatarjusze ratyfikują go zgodnie z wymaganiami ich konstytucyj.

Jak więc widzimy dość mglista i nieokreślona propozycja p. Litwinowa nabrała istotnego waloru dopiero po wprowadzeniu całego szeregu modyfikacji, o których w sposób ogólnikowy wspominała nota rządu polskiego z dnia 10 stycznia b. r. Dzięki tym modyfikacjom protokół staje się istotnie nowym czynnikiem politycznym we Wschodniej Europie, czynnikiem ugruntowanym na szerokich bazach terytorjalnych i nie stojącym w żadnej sprzeczności z aktem wielostronnym, do którego protokół został przyczepiony t. j. z paktem Kelloga.

Te szerokie podstawy protokołu i jego całkowita zgodność z paktem były właściwie nie na rękę rządowi sowieckiemu oraz Niemcom. Intrygom obu tych czynników przypię-

sać należy chwiejność i niezdecydowanie państw Bałtyckich w sprawie ustosunkowania się ich do protokołu. Stąd Finlandja np. niby to pod pozorem, iż nie może przystępować do protokołu, dopóki Sejm finlandzki nie ratyfikuje paktu Kelloga, zgóry odrzuciła myśl wspólnego i jednoczesnego podpisania protokołu w najbliższym czasie. Łotwa zaś po wyrażeniu swej opinii, iż może przystąpić tylko i jedynie do wspólnej akcji w pewnym momencie zachwiała się w swem stanowisku, nie wiedząc co jest lepsze, czy wspólne podpisanie, czy też późniejszy akces i tylko zawdzięczając zdecydowanemu stanowisku Estonji wybrała w ostatnim momencie pierwszą z tych ewentualności.

Intrygi niemieckie spełzły przeto na niczem, a przecież jasną jest rzeczą jak nie na rękę jest dyplomacji niemieckiej pacyfikacji stosunków między Rosją i Polską oraz między Rosją i innymi jej zachodnimi sąsiadami. Dlatego też państwa Bałtyckie były przez kilka tygodni terenem wyęźzonej zakulisowej akcji dyplomacji niemieckiej jak również i sowieckiej, które wspólnie razem chciały protokół wspólny rozbić by móc przed światem operować w dalszym ciągu rzekomym majakiem niebezpieczeństwa wojennego, mającego swe źródło nad Wisłą i Bałtykiem.

Tę grę przejrzała najpierw Estonia, potem Łotwa, a nie dostrzegła jej lub być może uległa Finlandja.

m. p.

LIBERALIZM GOSPODARCZY, ETATYZM, SYNDYKALIZM

Twórcze wysiłki i praca rządu i nielicznej garstki inteligencji nie wystarczą dla tak potężnego rozwoju gospodarczego kraju, żeby Polska mogła się przeciwstawić imperjalizmowi gospodarczemu mocarstw ościennych. Tylko obudzenie energii szerokich mas pracujących i pociągnięcie ich do faktycznej współpracy z rządem, oraz planowe paraliżowanie antyspołecznej działalności czynników egoizmu gospodarczego stworzą istotne podstawy dalszego i potężniejszego rozwoju ekonomicznego. (Uchwała Rady Naczelnej Związku Naprawy Rzplitej z dn. 19-go czerwca 1927).

Publikacja programu gospodarczego obozu Rewolucji majowej p. t. „Na froncie gospodarczym”, dokonana z inicjatywy redakcji „Drogi” rozpętała olbrzymią dyskusję, która się toczy teraz w całej prasie polskiej. Tu okazuje się jak na dłoni, co kogo krzepi, lub boli! Ważna to niesłychanie rzecz konstytucja, ale bliższa dla przeciętnego Polaka, dla grup gospodarczych i politycznych nawet sprawa ekonomiczna. Dyskusja wykazuje przytem wielkie pomieszanie pojęć. Iluż to gromiciele „demoliberalizmu” politycznego okazuje się gorliwymi obrońcami liberalizmu gospodarczego! Iluż to z drugiej strony rzetelnym, czy pozornym „demoliberalom” uśmiecha się gospodarka etatystyczna!

Liberalizm polityczny i gospodarczy są to dwa zastosowania jednej i tej samej rzeczy — jak to głosimy od szeregu miesięcy. Wyrastają one z wspólnego podłoża ustroju kapitalistycznego. Ale dzisiaj świat liberalny jest w pełnym rozkładzie i to właśnie stwarza owo niezwykle pomieszanie pojęć. Nie jest ono właściwe jedynie Polsce. Weźmy na przykład takiego pana Coty, króla perfum paryskich i wydawcę „L'Ami du peuple” (firma skradziona nie byle komu, samemu obywatelowi Marat), który w panicznej obawie przed rewolucją socjalistyczną (a socjalizmem jest dla tego pana nawet ruch chrześcijańsko-demokratyczny) pragnie stworzyć faszyzm we Francji, nie wiedząc nawet o tem, jak

to twórcy faszyzmu, a rutynowani rewolucjoniści, uzyskawszy od kapitału pieniądze na dojście do władzy położyli we Włoszech liberalizm (właśnie gospodarczy!) na obie łopatki.

Rozkład świata kapitalistycznego wyłonił w Ameryce nowe zjawisko: *superkapitalizm*. Staje się on bardzo modny w Europie, jako prawdziwy, stuprocentowy kapitalizm. Ale jest to zjawisko niemożliwe do przeszczepienia na grunt europejski; gdyby nawet ktoś w praktyce chciał „robić Forda” w Europie (a musiałby zacząć od wyznaczenia królewskich płac robotnikom), daleko nie zajechałby na tej drodze. W Europie więc wyrastają inne zjawiska gospodarcze, tworzą się formy gospodarki socjalistycznej; (używamy tego wyrażenia w znaczeniu najogólniejszym, dla określenia stanów, w których inicjatywa gospodarcza jednostek ustępuje miejsca inicjatywie Państwa, albo zrzeczeń).

Takim socjalizmem jest także etatyzm, jak to wymownie wykazywał Jędrzej Moraczewski w pierwszych numerach „Przedświtu”. Pojawił się on w czasie wojny światowej i odtąd nie ustępuje z życia gospodarczego Europy; widocznie więc ma rację bytu. Zadajmy sobie jednak pytanie, czy etatyzm jest istotnie urzeczywistnieniem nowego ustroju gospodarczego, czy też tylko zjawiskiem, związanym z rozkładem dawnego ustroju. Pouczająca jest dla rozwiązania

tego problemu właśnie niezmiernie symptomatyczna ławość, z jaką liberali mieszczańscy, czy też robotniczy stają na gruncie etatyizmu. Etatyizm wyrósł na granicy między będącym w rozkładzie światem mieszczańskim, a opanowanym przez atrofię woli światem pracy, pogodzonym na gruncie wspólnej ideologii liberalizmu politycznego. Taki etatyizm krzewił się w Anglii za Lloyd George'a i we Francji kartelu lewicy, a w wielkich rozmiarach rozwinął się w Polsce „przedmajowej”. Był on sposobem opanowania produkcji za pośrednictwem słabej biurokracji przez niekompetentnych i antyspołecznych parlamentarzystów, tej produkcji, którą wypuszczali ze swej mocy dotychczasowi jej panowie i organizatorzy. Był on zarazem idącym po linii najmniejszego oporu rozwiązaniem trudności gospodarki wojennej.

Nie trzeba udowadniać, że dzisiejszy etatyizm w Polsce, wyznawany rzekomo przez „pierwszą brygadę gospodarczą” jest zgoła innem zjawiskiem, przypominającym żywo znane zjawisko etatyizmu faszystowskiego. Jest to etatyizm *konstruktywny*, polityka gospodarcza Państwa, które przewyciężywszy atrofię liberalizmu podjęło po raz pierwszy dzieło rozbudowy produkcji, zastępując prywatne przedsiębiorstwa. Słusznie też obrońcy tego etatyizmu wskazują *port w Gdyni*, „*drugi Chorzów*”, plan *wierceń naftowych*, czy też *osuszenia Polesia* i zadają pytanie, czy można byłoby tych dokonać, pozostając wiernym ewangelii liberalizmu gospodarczego. W Ameryce bezwzględnie byłoby to możliwe, a nawet niedopuszczalne byłoby inne przeprowadzenie działań gospodarczych, ale — jeszcze raz powtarzamy — mrzonką byłoby dążyć w Europie do zaszczerpienia amerykańskiego superkapitalizmu.

Rząd Rewolucji majowej rozpoczął swoją politykę gospodarczą od kursu bezwzględnie liberalnego (przypomniemy tu działalność ministrów Klarnera i Gliwica), a jeżeli od kursu tego stopniowo odstępował, to tylko z powodu *konieczności państwowych, nakazujących mu podjęcie inicjatywy w kierowaniu produkcji polskiej we właściwe łożyska*. Było to następstwem faktu, stwierdzonego ponad wszelką wątpliwość, że t. zw. producenci polscy nie posiadają ani zrozumienia, ani ochoty, ani kwalifikacji do wzmożenia produkcji i jej reorganizacji.

* * *

Taka jest geneza t. zw. etatyizmu, będącego po prostu inicjatywą ludzi o zmyśle państwowym i stojących przy warsztacie państwowym, a rozumiejących, że po rozegraniu walk o wielkość Polski na froncie bitewnym i politycznym, przychodzi teraz kolej na stoczenie takiej samej walki „na froncie gospodarczym”.

Zadajmy sobie jednak pytanie, czy ów etatyizm ma być zjawiskiem trwałym w życiu polskim.

Dwa byłyby objawy jego utrwalenia: po pierwsze, gdyby przedsiębiorstwa będące własnością Państwa powstały w dużej ilości, przerastając przedsiębiorstwa prywatne; powtóre zaś, gdyby inicjatywa, zmierzająca do dalszej, planowej rozbudowy Państwa spoczywała jedynie w ręku czynników rządowych, koncentrujących się w ministerstwach i bankach państwowych.

Taka ewolucja dzisiejszej sytuacji gospodarczej byłaby z różnych względów niepożądana. Musimy tu przypom-

nieć stanowisko Związku Naprawy Rzplitej z czerwca 1927 r., wyrażone w uchwale stwierdzającej, że „twórcze wysiłki rządu i nielicznej garstki... nie wystarczą dla tak potężnego rozwoju kraju, aby Polska mogła się przeciwstawić imperjalizmowi gospodarczemu mocarstw ościennych”. *Dla rozwoju produkcji należy szukać o wiele szerszej podstawy. Rzecz prosta, że należy jej szukać w „szerokich masach pracujących”* słowami tej samej rezolucji; w masach rząd może znaleźć odpowiednich współpracowników, ożywionych chęcią rozbudowy produkcji.

Masy pracujące nie wypowiedziały się jeszcze w dyskusji na temat liberalizmu i etatyizmu. Jakież stanowisko zajęłyby one w tej sprawie?

Nie ulega wątpliwości, że oddanie produkcji w ręce technicznie niekompetentnej biurokracji byłoby dla nich równie niemiłe, jak władanie nad nią kapitału. Do tego zaś sprowadza się etatyizm, jako zjawisko *trwałe*. Dyskusja na temat realizacji postulatu unarodowienia kopalń rządowych w Anglii (r. 1919) wywołała znamienne kontrowersję między etatystami, a przedstawicielami robotników, zasiadającymi razem w t. zw. Komisji Sankeya i zgodnymi co do tego postulatu. Sędzia Sankey i inni delegaci rządu pragnęli zapewnić kierownictwo produkcji rządowi, rada narodowa złożona z górników, techników i konsumentów miałaby być tylko organem doradczym w rękach zawiadowcy, mianowanego przez rząd i odpowiedzialnego przed parlamentem; delegaci trade-unionów byli za zupełnym samorządem, wyrażającym się w niezawisłości rady narodowej, w połowie wybieranej przez górników. Kontrowersja ta dowodzi niechęci do zastąpienia dzisiejszych pracodawców, Państwem jako jedynym pracodawcą. Niewątpliwie byłby to pracodawca niebezpieczniejszy w razie zatargów ze względu na swoją potęgę. Ale i dla Państwa perspektywa ta nie jest zbyt zachęcająca. Walka gospodarcza pracowników z Państwem jako pracodawcą, nieuchronna w razie zatargów przemieniłaby się z konieczności w walkę polityczną; ruch robotniczy obecnie anty-kapitalistyczny stałby się ruchem anty-państwowym.

Ekonomista włoskiego syndykalizmu rewolucyjnego, Artur Labriola zwrócił jeszcze przed wojną uwagę na te perspektywy, stwierdzając, że w razie realizacji socjalizmu „opozycja między robotnikami a kapitalistami zostanie zastąpiona przez opozycję między robotnikami a Państwem”, bo walka klas „odradza się w każdej organizacji socjalnej, w której wytwórcy (scilicet: robotnicy) nie są właścicielami i panami warsztatów”. Nie trzeba udowadniać, jak groźna byłaby taka perspektywa dla Państwa polskiego. Niebezpieczeństwo straci swą wagę tylko wtedy, kiedy stanie się ono Państwem syndykalnym, to jest samorządem wytwórców. Jak daleko jesteśmy jednak jeszcze od realizacji tego ideału głoszonego już przez St. Brzozowskiego przed wielkim przewrotem dziejowym!

W dzisiejszych warunkach musimy zadowolić się częściową realizacją koncepcji samorządu wytwórców. W ten sposób zbliżamy się najbardziej do rozwiązania kwestji społecznej, a zarazem stwarzamy dla produkcji podstawę, umożliwiającą dalszy i potężniejszy rozwój ekonomiczny i uchylającą niebezpieczeństwo rozwoju etatyizmu biurokratycznego, w który mógłby się łatwo wyrodzić dzisiejszy „twórczy” etatyizm pionierów, walczących o zwycięstwo Polski na froncie gospodarczym.

Należy więc stworzyć samorząd gospodarczy regionalny i ogólnopństwowy z udziałem zarówno przedsiębiorców, jak i pracowników (przyczem na to ostatnie specjalną zwracamy uwagę; istnieje wszak dziś samorząd gospodarczy Izb handlowo-przemysłowych, które jednak w rozwoju produkcji dosyć nikłą odgrywają rolę), a podporządkowany ściśle inicjatywie Państwa, bo to w okresie pionierskim jest

bezwzględnie wskazane. Stworzyć ten samorząd nie trudno. Z opieszałości w tym kierunku czynimy też poważny zarzut sferom rządowym. Możeby inicjatywę dała *Generalna Federacja Pracy*, szczególnie zainteresowana zarówno „w planowem paraliżowaniu antyspołecznej działalności czynników egoizmu gospodarczego”, jak też i w „obudzeniu energii szerokich mas pracujących”. *K. Zakrzewski*

„W SIECI NIEBEZPIECZNEJ UTOPIJ”

P. Wł. Świrski w „*Myśli Narodowej*” zakwestjonował główną tezę mych artykułów o „kwestji ruskiej” w sposób wysoce nierzeczowy. Wolno „*Myśli Narodowej*” głosić, że teza ta oznacza „uznanie separatyzmu ukraińskiego”; do takich bezmyślnych zarzutów jesteśmy wszak z tamtej strony przyzwyczajeni. Czy jednak w interesie czytelnika „*Myśli Narodowej*” leży stwarzanie w jego głowie istotnie „niebezpiecznej utopji” przez publicystę partyjnego, to rzecz wielce wątpliwa i za owym nieszczęsnym czytelnikiem górażco wypada nam się ująć.

„Utopję” tę stwarza p. Świrski, twierdząc, że zasadniczym punktem wyjścia „*Przełomu*” jest możliwość wznowienia polityki Petlury, podczas gdy „*Przełom*” wyraźnie przecież stwierdził, że w teraźniejszości możliwość ta nie istnieje, a zasadniczy punkt widzenia ustaliliśmy bardzo dokładnie, podnosząc, że jest nim dążenie, „aby wszyscy obywatele Polski tworzyli świadomy i politycznie solidarny naród polski, zachowując zresztą odrębności cywilizacyjno-etniczne” („Lwów i miejscowości ukraińskie”, *Przełom* Nr. 50 z 30-go grudnia 1928 r.). Wymaga to bezsprzecznie sprowadzenia narodowości ukraińskiej w Polsce na grunt państwowy, ponieważ poza tem pozostawałoby tylko jeszcze jedno jedyne wyjście: „*ausrotten*”, które może w teorii uśmiechałoby się p. Świrskiemu, ale w praktyce nawet za rządów menderów byłej narodowej-demokracji nie było realizowane, bo nie było możliwe do zastosowania.

„Polityka Petlury” poza innymi korzyściami dla Państwa polskiego, wynikającymi z rozbitcia jedności państwowej kolosa rosyjskiego, co napróżno martwi publicystów „*Myśli Narodowej*” może dać jeszcze tę korzyść, że zrealizuje w całej pełni przyjazne współdziałanie dwóch naro-

dów: polskiego i ukraińskiego, zmuszając separatystów ukraińskich w Polsce do wyciągnięcia konsekwencji z tego faktu i do zrozumienia, że jedynie za pośrednictwem Państwa polskiego, stając się jego świadomymi obywatelami, mogą osiągnąć możliwość współdziałania politycznego i kulturalnego z Ukrainą właściwą.

Cała więc trudność rozwiązania kwestji ukraińskiej w Polsce polega obecnie na tem, że polityki takiej prowadzić obecnie nie można, bo jest ona sprzeczna z naszymi zobowiązaniami traktatowymi, oraz z dążeniem do zachowania pokoju. Czy z tego wynika, że polityka owa nie będzie aktualna w przyszłości? Tego nawet „*Myśl Narodowa*” nie kwestjonuje. Rosja sowiecka znajduje się w stanie chaosu, z którego będzie może chciała szukać wyjścia przez agresję, jakiej pragną już teraz sfery czerwonej armji. Powszechnie też opinja liczy się z możliwością likwidacji systemu sowieckiego na rzecz jakiegoś czerwonego, lub nie-czerwonego bonapartyzmu. Na ten wypadek Polska ma już określone stanowisko obronne; będzie niem *powrót do aktywności na Wschodzie Europy*, przerwanej podpisaniem traktatu ryskiego i świadomie od tego czasu wyłączanej.

W teraźniejszości zaś politycznej, która będzie trwała tak długo, dopóki druga strona nie zerwie traktatu ryskiego, istnieją mimo wszelkich trudności duże możliwości organizowania ludności ukraińskiej w ramach Państwa polskiego i obóz nasz możliwości te wyzyska, narażając się na zły humor „*Myśli Narodowej*”, albo też jej kongenjalnych Undowców, należących do tej samej „mniejszości” sejmowej, która pod batutą pp. Rybarskich i St. Strońskich bezskutecznie zwalczała „*Cara*”.

Krzewski

BRYTANJA PRZED WYBORAMI

Wynik wyborów brytyjskich bieżącego roku będzie miał olbrzymią doniosłość nie tylko dla losów imperjum brytyjskiego, lecz także dla świata całego.

Rok 1929 będzie rokiem wyborów powszechnych w W. Brytanji. Mandat obecnego parlamentu kończy się z dniem 12 listopada b. r. Różne względy przemawiają jednak za tem, iż rząd nie będzie czekał aż do granic legalnych żywota Izby Gmin, lecz że spowoduje rozwiązanie jej jeszcze przed ferjami letnimi. Jako data najprawdopodobniejsza wyborów uchodzi dotąd pierwsza połowa czerwca, ale względ na prace obecnej ostatniej sesji parlamentu wybranego w r. 1924, które dotyczą spraw nader ważnych z punktu widzenia interesów wyborczych rządzącego stron-

nictwa konserwatywnego, może pociągnąć zwłokę kilkutygodniową.

Tegoroczne wybory będą *pierwszemi*, które odbędą się na podstawie całkiem powszechnego prawa głosowania. W rzeczy samej bowiem powszechne prawo wyborcze dla mężczyzn zostało wprowadzone dopiero przez reformę wyborczą z r. 1917, która jednak nie przyznała go ogółowi kobiet. Przeważna część kobiet w wieku poniżej lat 30 i pewne kategorie kobiet powyżej tej granicy wieku były w dalszym ciągu pozbawione prawa głosowania i dopiero ustawa

uchwalona w roku ubiegłym zrównała w zupełności pod względem praw politycznych kobiety z mężczyznami. Skutkiem tego liczba uprawnionych do głosowania w Zjednoczonym Królestwie powiększyła się o 5.200.000 i wyniesie razem około 25 milionów.

Jest przytem rzeczą charakterystyczną wielce dla systemu politycznego W. Brytanji, uchodzącej powszechnie za wzór *demokracji* parlamentarnej, że podstawowa z punktu widzenia demokratycznego zasada *równości* praw politycznych wszystkich obywateli *nie została dotąd przeprowadzona* w brytyjskim prawie wyborczym, które przeciwnie stosuje w szerokim zakresie zasadę pluralności. I tak każdy mający przedsiębiorstwo przemysłowe, lub handlowe jest uprawniony do głosowania w okręgu wyborczym, w którym znajduje się to przedsiębiorstwo, prócz tego zaś w okręgu, w którym zamieszkuje. Klauzula ta stwarza przywilej specjalny dla burżuazji, którego znaczenie praktyczne nieco zmalało, odkąd wybory do parlamentu odmiennie od dawniejszej praktyki — odbywają się jednego dnia w całym kraju. Nie mniej jednak w większych skupieniach miejskich, w których dzielnice przemysłowo-handlowe są oddzielne od t. zw. dzielnic rezydencjalnych, wielka część burżuazji korzysta faktycznie z pluralnego prawa wyborczego. Takie same prawo przysługuje posiadaczom stopni uniwersyteckich, którzy głosują w specjalnych okręgach uniwersyteckich — np. na uniwersytety w Oxfordzie i Cambridge przypada po dwóch posłów — prócz tego zaś w okręgach zamieszkania. Fakty te świadczą wymownie, jak bardzo życie polityczne W. Brytanji jest odporne wobec doktryny abstrakcyjnej. Cała historia bardzo stopniowego rozszerzania prawa wyborczego od pierwszej reformy z r. 1832 do piątej reformy z r. 1928 daje świadectwo tej typowo angielskiej metodzie rozwoju politycznego.

Bądź co bądź jednak cała ludność Zjednoczonego Królestwa będzie powołana w lecie b. r. do udziału w wyborze suwerennego organu państwowego, jakim jest w W. Brytanji parlament. Idea suwerenności ludu jest dotąd obca brytyjskiemu prawu państwowemu, a decyzje parlamentu są ostateczne i absolutne, jak decyzje najbardziej despotycznego monarchy. *Parliament can make evrything but not a man a woman and woman a man* (parlament może zrobić wszystko, nie może tylko zrobić z mężczyzny kobiety ani z kobiety mężczyzny) oto fundamentalna zasada ustroju W. Brytanji od Rewolucji r. 1684 do chwili dzisiejszej. Żaden plebiscyt, ni referendum, żadna inicjatywa ludowa nie może być przeciwstawiona woli parlamentu. Co więcej wola ta wyraża się w zwykłej większości głosujących. Ta sama większość jednego głosu wystarczałaby do zniesienia monarchji lub wprowadzenia ustroju komunistycznego, jak do uchwalenia koncesji na budowę kolejki lokalnej. Jedyłą granicą faktyczną dla samowoli parlamentu, względnie partji mającej w nim większość, jest zasada lojalności, zasada *fair play* wobec przyjaciół i przeciwników, praktykowana dotąd stale przez angielskie stronnictwa polityczne. Dlatego zobowiązania programowe, zaciągnięte w czasie kampanji wyborczej, są bezwzględnie honorowane. Partja konserwatywna np. zobowiązała się przy wyborach r. 1924 do niewprowadzania systemu ceł ochronnych; przyrzeczenie to zostało dotrzymane, jakkolwiek ogromna większość konserwatystów stoi na gruncie protekcjonizmu.

Te obyczaje, które przynoszą prawdziwy zaszczyt ży-

ciu publicznemu W. Brytanji, stanowią pewną gwarancję dla obywateli, natomiast nie są żadną gwarancją dla interesów państwowych. Te ostatnie są całkowicie zdane na los hazardu wyborczego. Najbardziej zabójczy dla państwa, najbardziej demagogiczny program polityczny, który triumfuje przy wyborach, będzie mógł i będzie musiał być zrealizowany, właśnie w imię owej rzetelności w stosunku do wyborców. A wynik wyborów jest w W. Brytanji większym hazardem, niż w jakimkolwiek innym kraju wskutek zasady względnej większości przy okręgach jednomandatowych. Skutkiem tego wystarcza stosunkowo niewielkie przesunięcie głosów, ażeby zupełnie zmienić skład izby gmin. Łatwo może przytem zdarzyć się, że partja mająca za sobą tylko mniejszość wyborców zdobędzie większość mandatów i temsamem będzie mogła realizować swój program bez żadnego legalnego hamulca. Przy ostatnich wyborach zasada względnej większości wyszła na korzyść konserwatystom, którzy uzyskali 47% ogółu oddanych głosów a zdobyli 67% ogółu mandatów, czyli będąc mniejszością w kraju uzyskali większość $\frac{2}{3}$ w izbie gmin. Jako zaletę tego systemu podnoszono, że ułatwia on trwałą większość w parlamencie. Jest to słuszne, ale tylko w obrębie jednej kadencji parlamentarnej. Tem większe zato mogą być zmiany od jednej do drugiej kadencji.

Jeżeli brytyjska nawa państwowa mogła dotąd zwycięsko stawić czoło burzom politycznym w ciągu 2 $\frac{1}{2}$ stuleci pomimo tak hazardownej obsady kierownictwa, to główna przyczyna tego leży w fakcie, że rywalizujące z sobą ekipy whigów i torysów od drugiej połowy XVIII w. nie reprezentowały żadnych podstawowych różnic ani zasad, ani interesów. Obie partje ulegały wpływowi ewolucji społeczno-gospodarczej, która z Anglii feudalnej stworzyła bez żadnego gwałtownego przewrotu Anglię nowoczesną, mieszczańską i kapitalistyczną. Obie historyczne partje brytyjskie reprezentowały dwie strony jednego i tego samego procesu rozwojowego. Walka pomiędzy nimi dotyczyła spraw nie istotnych dla bytu państwowego i społecznego. Zmianie się u steru rządów konserwatystów i liberałów dokonywało się skutkiem tego bez żadnych głębszych wstrząśnień a skutki ujemne tego „*jeu de bascule*” dla państwa jeszcze bardziej zostały zredukowane, odkąd w drugiej połowie XIX w. utarła się zasada ciągłości w polityce zagranicznej bez względu na partję znajdującą się momentalnie u władzy.

Natomiast owe zalety praktyczne brytyjskiego systemu politycznego musiały przemienić się w wady z chwilą, gdy na widowni pojawiło się trzecie stronnictwo o światopoglądzie politycznym, społecznym i gospodarczym djametralnie przeciwnym obu dawniejszym partjom. Stronnictwem tem jest Partja Pracy, której niesłuchanie szybki wzrost w ciągu ostatniego 25-lecia zmienił radykalnie sytuację polityczną w W. Brytanji. Uzyskanie przez Partję Pracy większości w izbie gmin będzie stanowić moment krytyczny pierwszego rzędu w dziejach W. Brytanji oraz imperjum brytyjskiego. Możliwość takiej większości jest całkiem aktualna przy tegorocznych wyborach, a to nadaje im doniosłość zgoła wyjątkową. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że wybory brytyjskie w rękach swych mają los W. Brytanji i swój własny; w żadnym bowiem kraju los i jednostek i klas całych nie jest tak ściśle związany z losami państwa, jak w Zjednoczonym Królestwie.

Wynik wyborów brytyjskich bieżącego roku będzie miał olbrzymią doniosłość nie tylko dla losów imperjum brytyjskiego, lecz także dla świata całego. Albowiem tym razem walka pomiędzy partjami brytyjskimi nie obraca się bynajmniej tylko dokoła zagadnień wewnętrznych. Także polityka międzynarodowa jest tym razem przedmiotem najostrożniejszego sporu. Zasada ciągłości polityki zewnętrznej Zjednoczonego Królestwa została przekreślona. W sferze polityki światowej przyjdzie do władzy *Labour Party* oznaczaloby jeszcze większą rewolucję, niż w dziedzinie stosunków wewnętrznych W. Brytanji. Rewolucja ta grozi w momencie skądinąd szczególnie niebezpiecznym, kiedy na porządku dziennym stoją zagadnienia tak kapitalne, jak problem reparacyjny, sprawa lewego brzegu Renu, sprawa ograniczenia lub nowego wyścigu zbrojeń na lądzie, morzu i powietrzu, rywalizacja anglo-amerykańsko-japońska na

Pacyfiku, antagonizm brytyjsko-sowiecki i t. d. We wszystkich tych sprawach pomiędzy stanowiskiem dzisiejszego rządu angielskiego a stanowiskiem opozycji jest prawdziwa przepaść. A we wszystkich tych sprawach od zachowania się W. Brytanji zależy cały dalszy rozwój wypadków. Dlatego uwaga kancelaryj wszystkich państw wciągniętych w orbitę polityki światowej skupia się na wyborach angielskich. Można przepowiedzieć bez obawy błędu, iż we wspomnianych sprawach żaden decydujący krok nie będzie zrobiony, zanim nie będzie wiadomo, kto będzie rządził w najbliższych latach na Downing-Street.

Co będzie przedmiotem tegorocznej walki wyborczej w Zjednoczonym Królestwie i jakie są szanse jej wyniku, tem zajmiemy się w następnym artykule.

Tadeusz Wałek-Czernecki

NA ARENIE POLITYKI ŚWIATOWEJ

SYTUACJA POLITYCZNA WE FRANCJI

Od miesiąca przeszło rząd p. Poincaré'go jest na cenzurowanem.

Interpelacja opozycji na temat polityki ogólnej rządu, interpelacja w sprawie polityki społecznej, interpelacje odnośnie bardzo poważnego dziś zagadnienia Alzacji i Lotaryngji.

Za każdym razem dyskusje w Parlamencie ciągnęły się po kilka, a nawet kilkanaście dni.

Właściwie jednak tylko debaty nad polityką ogólną rządu miały charakter *par excellence* polityczny i decydujący dla losów gabinetu.

Debata nad sprawą alzacką, która dzięki knowaniom niemieckim zaczyna nabierać bardzo przykrego dla Francji posmaku „mniejszościowego“ — wykracza ogromnie poza ramy zmagania polityczno-parlamentarnych i traktowana być musi jako zagadnienie państwowe. *)

Alzacki ruch autonomistyczny, przybierający coraz bardziej jaskrawą formę, oraz pierwsze jaskółki podobnych dążeń w Bretanii — stanowią dziś poważny przedmiot troski Republiki Francuskiej i zasługują w zupełności na baczną uwagę ze strony opinii politycznej Polski. Ruch autonomistyczny pozostaje bowiem w bardzo ścisłej łączności z całą niemiecką aktywnością „mniejszościową“ w Europie. To też sprawą tą zajmiemy się wkrótce bliżej na łamach „Przełomu“.

Dzisiaj chcemy tylko zobrazować obecną fazę życia polityczno-parlamentarnego Trzeciej Republiki.

Przypomnijmy niektóre fazy z niedawnej przeszłości.

Obecny gabinet jest bezpośrednim następcą rządu „jedności narodowej“, utworzonym w r. 1926 — na skutek niepowodzeń finansowych Kartelu Lewicy — celem „ratowania franka“.

*) W chwili gdy piszemy, rozprawy w Izbie obfitujące w momenty dramatyczne i emocjonujące, nie są jeszcze zakończone.

Przez dwa lata trwało zawieszenie walk partyjnych na terenie Parlamentu i rząd p. p. Poincaré'go, Briand'a, Herriot'a, Painlevé'go i Marin'a mógł spokojnie pracować nad uzdrowieniem sytuacji skarbowej.

W tej atmosferze zawieszenia broni odbyły się w kwietniu 1928 r. wybory do nowej Izby. Przyniosły one w wyniku pewne osłabienie partji lewicowych i wzrost liczebny grup prawego środka.

W czerwcu r. ub. została przeprowadzona przez p. Poincaré'go legalna stabilizacja franka. Radykałowie, których sytuacja w rządzie — na skutek przesunięcia się punktu ciężkości w nowej Izbie bardziej na prawo — stała się po wyborach znacznie trudniejsza, uznali stabilizację waluty za ukoronowanie dzieła naprawy skarbu, a tem samem wybił faktycznie koniec istniejącego od lat dwóch zawieszenia broni. Prawica nacjonalistyczno - klerykalna, która, wzmógłszy się na siłach, wzrosła w apetyty, widziała chętnym okiem to stanowisko radykałów, dające jej z jednej strony łatwe pole obstrzału, z drugiej zaś pozwalające (jak tuszyła) na uzyskanie przez nią większego niż uprzednio wpływu na rządy krajem.

Gabinet „jedności narodowej“ przetrwał aż do listopada r. ub., t. j. do chwili odwołania z rządu przez Kongres partji radykalnej swych przedstawicieli. Był to krok, na który partja radykalna, spadłszy poniekąd w rządzie do roli zakładnika konserwatystów i coraz silniej przez tych ostatnich atakowana na terenie — zdobyć się musiała, by zachować swą jedność i położyć kres coraz ostrzej zarysowującemu się konfliktowi między swem prawem a lewem skrzydłem. W każdym niemal głosowaniu politycznym klub radykalny rozbił się na trzy grupy: prawa głosowała za rządem, lewa — przeciw, centrum zaś wstrzymywało się.

Ten stan rzeczy wyzyskiwany był zarówno przez prawicę, jak i przez so-

cialistów dla podrywania sytuacji radykałów w kraju. Włóściaństwo francuskie, stanowiące obok drobnych mieszczan główne oparcie partji pp. Herriot'a, Daladier'a i braci Sarraut, włóściaństwo to, nastrojone zwłaszcza w południowych departamentach bardzo antyklerykalnie, patrzyło nieufnym okiem na współpracę radykałów z katolicko - konserwatywnym stronnictwem p. Marin'a („Unja Republikańsko - Demokratyczna“) i coraz silniej ciążyło ku socjalistom, szukającym na terenie wsi odwetu za przegrane i porażki, zadawane im przez komunistów w ośrodkach przemysłowych. To też jako powód zerwania z „jednością narodową“ radykałowie wybrali p r o j e k t rządu, zmierzający do przywrócenia francuskim misjom katolickim prawa utrzymania nowicjatów we Francji i do zapewnienia im pomocy finansowej.

Ustępując z rządu, radykałowie zmierzali do jego rekonstrukcji w kierunku centro-lewu, a przynajmniej do usunięcia od wpływu na rządy partji p. Marin'a. Tymczasem p. Poincaré utworzył łatwo nowy rząd... bez radykałów.

V gabinet Poincaré'go oparł się na grupach prawicy i centrum; jego większość parlamentarna sięga jednak bardziej na lewo, niż dawny Blok Narodowy: objęła bowiem klub „lewicy radykalnej“ (grupa ministra pracy p. Loucheur'a), klub „republikanów-socjalistów“ (luźne ugrupowanie, do którego należą pp. Briand i Painlevé) i kilkunastu nie należących do żadnego klubu posłów lewicowych. By uniknąć etykiety „rządu prawicowego“ p. Poincaré ofiarował aż 5 poważnych tek *) klubo-

*) Teki spr. zagranicznych (p. Briand), teka spr. wojskowych (p. Painlevé), roboty publiczne i komunikacja (p. Forgeot), rolnictwo (p. Hennessy), emerytury wojskowe (p. Antériou) Tę ostatnią tekę w poprzednim gabinecie piastował prezes najsilniejszego stronnictwa prawicowego — p. Marin.

wi „republikańsko - socjalistycznemu“, liczącemu wprawdzie zaledwie 17 członków, cieszącemu się natomiast nieposzlakowaną opinią lewicowości (nb. prezes tego klubu p. Violette, zawiedziony w swych nadziejach ministerjalnych, głosił stale przeciw rządowi, którego trzecią część stanowią jego koledzy klubowi). Równocześnie p. Poincaré, tworząc swój nowy gabinet, nie zatrzymał w nim p. Marin'a, lidera najsilniejszego prawicowego klubu w Parlamencie i członka rządu „ratowania franka“, jako osobistość zbyt jaskrawą i nie do strawienia dla... opozycyjnych grup lewicowych.

Na okres prac nad budżetem i aż do chwili jego uchwalenia zawarty został między nowym rządem p. Poincaré'go a opozycją lewicową niepisany pakt o zawieszenie walk parlamentarnych. Zauważmy na marginesie, iż nowy rząd — o zabarwieniu centrowo-prawicowym — usunął z projektu budżetu paragrafy dotyczące kongregacji i misyj katolickich. Tak oto potwierdza się raz jeszcze stare spostrzeżenie, iż rząd parlamentarny nie posiadający silnej i szerokiej podstawy musi częstokroć uprawiać politykę... opozycji, a w każdym razie liczyć się z nią bardziej, niż ze swą większością i jej programem.

Z chwilą uchwalenia budżetu partja radykalna postanowiła wspólnie z socjalistami zaatakować rząd na terenie polityki ogólnej. Nie liczone zbyt na obalenie gabinetu. Raczej już może oczekiwano rekonstrukcji rządu, w razie gdyby p. Poincaré uzyskał zbyt nikłą większość, nie dającą mu dostatecznego oparcia dla rozwiązania tych wielkich zagadnień (uregulowanie sprawy odszkodowań, problem ewakuacji Nadrenji, sprawa długów wobec Ameryki, „cierń“ alzacka etc.), jakie stoją przed Francją w najbliższej i bliskiej przyszłości. Rekonstrukcja ta miała się ewentualnie odbyć z jednej strony w drodze usunięcia z rządu przedstawicieli grupy nacjonalistyczno - konserwatywnej p. Marina, a przynajmniej zastąpienia jej obecnego przedstawiciela p. Bennefous (minister handlu) osobistością mniej bojową, czy zupełnie drugoplanową, z drugiej zaś przez ponowne wstąpienie do rządu radykałów. Partja radykalna nie lubi być w opozycji, czuje się w tej roli nieswojo. Rządziła bowiem Francją przez parę dziesiątków lat i uważa się za partję *par excellence* rządową, ponieważ reprezentuje te warstwy (włościanstwo i mieszczaństwo), które stanowią *gros* sił narodu francuskiego. Ten kierunek — jeśli kierunkiem nazwać można tęsknotę za władzą — oraz wyraźne skłonności do rządów centrowych reprezentują w łonie stronnictwa radykałowie dawnego autoramentu, stare wygi parlamentarne. Od lat kilku jednak zarysowuje się w partji coraz wyraźniej nowy kierunek, reprezentowany przez „młodych“ i ochrzczony wskutek tego nazwą „młodo - radykalnego“, akcentujący silnie momenty społeczne, dążący do rewizji programu

stronnictwa w duchu syndykalistycznym, domagający się całkowitej zmiany metod i taktyki, oraz stojący na platformie ścisłej współpracy z socjalistami. W polityce zagranicznej młodo-radykali deklarują się, jako zdecydowani pacyfiści. Przedstawicielem tego odłamu chodząco przedewszystkiem o wyrażenie stwierdzenie w debacie nad polityką ogólną rządu — stanowiska ideowego partji radykalnej, o zajęcie przez nią wyraźnej pozycji politycznej. Bądź jak bądź arbitrami sytuacji były — jak już ubocznie wspomnieliśmy wyżej — grupy: „lewicy radykalnej“ *) i „republikańsko-socjalistyczna“ **). Oba te kluby, niemające ścisłego odpowiednika organizacyjnego w społeczeństwie ***), oscylują na terenie Parlamentu między ugrupowaniami dawnego „Bloku Narodowego“ a trzonem b. „Kartelu Lewicy“. Wspomniane kluby (rozporządzające łącznie 75 głosami) stanowią właściwie grupę manewrową p. Briand'a. Wchodząc w skład większości rządowej, uprawiają one taktykę kokietowania lewicy, idąc z nią często ręką w rękę, popierając kandydatów lewicowych przy obsadzie prezydów komisji, referatów etc. — Dlatego też usiłowania opozycji szły po linii poróżnienia p. Briand'a z p. Poincaré'm. Usiłowania te spełzły na niczem, a to z dwóch powodów. Z jednej strony *najdogodniejszą i najsukcesywniejszą w tej chwili dla Francji linią w polityce zagranicznej jest pewnego rodzaju synteza między polityką p. Briand'a a p. Poincaré'go*. Ich ścisła współpraca może dać najowocniejsze rezultaty i z tego obydwaj ci mężowie stanu zdają sobie dokładnie sprawę. — Z drugiej zaś strony p. Briand zdawał się obawiać, iż w razie upadku gabinetu p. Poincaré'go spuściznę rządów obejmie nie on, jako wyraził dążeń centrowych, a raczej odrodzony z popiołów i rozszerzony nieco bardziej na prawo niż w r. 1914 „Kartel Lewicy“, tym razem z udziałem socjalistów. A wówczas teka spraw zagranicznych niekoniecznie p. Briand'owi przypadłaby w udziale...

W tych koniunkturach „lewica radykalna“ uchwaliła, iż „w obecnych warunkach należy utrzymać u steru władzy pp. Briand'a i Poincaré'go“.

Gabinet uzyskał w głosowaniu 65 głosów większości. W tydzień później tą samą większością votum zaufania dla rządów w sprawach polityki społecznej. Stwierdzić przytem należy, że w kwestji polityki ogólnej program rządu — zresztą zaciekawiony do najkonkretniejszych i najaktualniejszych zagadnień — nie odbiegał zbyt znacznie od programu radykałów, pozostających w opozycji. Znacznie większe rozbieżności stwierdziłby natomiast można między progra-

*) Liberalno-demokratyczne centrum.

***) Umiarkowana lewica.

***) „Lewica radykalna“ składa się przeważnie z członków radykalnych i bardziej społecznie i pacyfistycznie nastrojonych „Alliance Démocratique“, tworzący, który nie będąc partją, jest nią, formalnie nią nie będąc.

mem rządowym a tendencjami faktycznymi prawego skrzydła większości: Unji republikańsko - demokratycznej (grupa pp. Marin'a i Bonnefous). Ta ostatnia jednak — mimo iż liczy około 100 członków — nie ma wyboru: obecna konstelacja ministerjalna, jakkolwiek wpływu Unji na rząd są w stosunku odwrotnym do jej liczebności, *) — jest dla Unji *najdogodniejsza*. Na jakiegokolwiek zmianie prawica mogłaby tylko stracić.

Wynik głosowań, na skutek jedynomyślnego (po raz pierwszy od czasów kartelu) stanowiska partji radykalnej, pozwolił na *formalnie* zupełnie jasne zarysowanie się sytuacji politycznej. „Młodo - radykali“ odnieśli zwycięstwo nad „starą gwardją...“ i opozycja radykalna — uzgodniona ze stanowiskiem socjalistów — nosiła charakter opozycji programowej. P. Leon Blum, który, mimo iż przepadł przy wyborach, jest właściwym wodzem zjednoczonych sił socjalistycznych i radykalnych, stwierdza w „Le Peuple“ z radością i tryumfem utworzenie się w Parlamencie francuskim *lewicowej opozycji ideowej*; odważnej, jednolitej i szarmonizowanej w swych dążeniach. Prasa centrowa i prawicowa ze swej strony z naciskiem i najwyższym zadowoleniem stwierdza istnienie w Izbie trwałej, ideowej większości konserwatywnej; również odważnej, jednolitej i szarmonizowanej.

Z tego wypływałby wniosek, że Francja upodabnia się do Wielkiej Brytanji i wchodzi na tory, jeśli już nie dwupartyjnego, to w każdym razie dwuobozowego parlamentaryzmu.

Wniosek ten jednak byłby może przedwczesny. Nie należy zapominać o p. Briand'ie i silnych wciąż w Izbie francuskiej tendencjach do rządów według formułki „koncentracyjnej“ (centrowej). Słusznie zauważył ktoś w niezależnej prasie francuskiej, iż głosowanie t a j n e dałoby, jeśli nie inny wynik (p. Poincaré ma wciąż mocną pozycję w kraju), to w każdym razie inny układ sił. Część (i to zapewne znaczna) radykałów głosowałaby za p. Poincaré'm, natomiast dość poważna liczba nieprzejednanych prawicowców z grupy p. Marin'a wypowiedziałaby się przeciw rządowi. W głosowaniu jawnym musiało się podoprzakować dyscyplinie partyjnej.

Otóż to. Dyscyplina partyjna jest w Parlamencie francuskim rzeczą zupełnie nową. Do ostatnich niemal czasów przyjęta była powszechnie (za wyjątkiem jednych socjalistów) zasada głosowania „według sumienia“ (ewentualnie w/g interesu). Poseł był „reprezentantem narodu, a nie partji“. Ta „stara, dobra“ zasada jest mocno nadwyższona. Dyscyplina! Dyscyplina! Francuscy zwolennicy parlamentu „à la mode anglaise“ są upadkiem tej tradycji niesłychanie uradowani. Jeden z francuskich tygodników politycznych przypomniał

*) Stu-osobowa Unja ma tylko jednego ministra i jednego podsekr. Stanu; 17-o głowy klub rep.-socj. — 5 najważniejszych tek!

z tej racji sentencję wypowiedzianą w którymś z utworów Disraeli'ego: „Należy głosować razem ze swą partją, jak przystało na *gentleman'a* a nie według swego przekonania osobistego, jak jaki awanturnik“. — Natomiast jeden z weteranów parlamentaryzmu na francuską modłę miał jakoby powiedzieć: „Dyscyplina klubowa to koniec polityki“. — „Polityki, jak polityki — zauważa od siebie „*L'Europe Nouvelle*“, która przytacza tę kulturalową uwagę, ale koniec formuły rządów centrowych, które były specyficznie francuską tradycją parla-

mentarną“. Powiedzielibyśmy raczej: początek końca, aby bowiem zarysowujący się dopiero dwuobozowy system parlamentarny stał się „rzeczywistością rzeczywistą“, trzeba z jednej strony, by stronnictwa francuskie wzmocniły swą organizację — dziś jeszcze luźną; z drugiej zaś strony, by znikły z powierzchni życia politycznego ugrupowania pośrednie, w rodzaju „lewicy radykalnej“, „republikanów socjalistów“, „niezależnej lewicy“ etc., względnie słabe liczebnie, lecz szeregujące naogół wybitnych parlamentarzystów. Droga

jednak do tego stanu rzeczy jest jeszcze dość daleka i niełatwa — zwłaszcza dopóki w polityce francuskiej odgrywać będzie wybitną rolę p. Briand — zdecydowany wróg dyscypliny partyjnej. Grupy pośrednie, o których wspomnieliśmy, nie mają ani programu, ani nawet jasnej doktryny politycznej. A przytem dyscyplina klubowa ma w tonie samej partji radykalnej zdecydowanych przeciwników. Stara formuła rządów centrowych może więc przy sprzyjających okolicznościach być łatwo odgrzebana z gorących jeszcze popiołów.

Jerzy Szurig

WOLNE GŁOSY

O POZIOM DYSKUSJI

W ostatnich dniach na łamach prasy codziennej poruszona została sprawa pierwszorzędnej wagi, która z dniem każdym staje się w Polsce bardziej paląca — jest to sprawa rozwodów, której rozwiązanie musi być przeprowadzone łącznie z opracowaniem nowego kodeksu cywilnego.

Sprawę tę poruszył, jak zawsze wnikliwie wyczuwający nastroje społeczeństwa, znakomity feljetonista „Kurjera Porannego“ — Boy, który, nie bez słuszności, przybrał sobie dobrodusznio-ironiczny orzecznik-mędrca. Rzecz prosta, że utrzymał Boy swe rozważania w tonie feljetonowym żartobliwym i dla tego nie mógł zagadnienia tego ująć w sposób głębszy, ku czemu zresztą stoi na przeszkodzie brak znajomości kodeksu honorowego, jak i bardziej szczerych zainteresowań w dziedzinie teologicznych spekulacji, tak odległych od typu nawskroś nowoczesnej umysłowości, jaką jest autor „Breweryj“.

Należy się jednemu dziwić, że w prasie codziennej Boy niemal pierwszy poruszył tę sprawę, jeżeli nie brać pod uwagę ciekawe artykuły umieszczone w tej materji przed niedawnym czasem na łamach „Przeglądu Powszechnego“.

Tymczasem zagadnienie rozwodów i prawa małżeńskiego powinno wzbudzić zainteresowanie nie tylko kanonistów i cywilistów, ale jaknajszersze koła społeczeństwa, jest to bowiem sprawa pierwszorzędnej wagi zarówno dla jednostki jak i dla społeczeństwa i Państwa oraz dla Kościoła.

Należy przyznać, że obecnie w stosunkach małżeńskich, a zwłaszcza w sprawach rozwodowych panuje niebywały chaos, abso-

lutny zanik zasad wszelkiej moralności bez względu na to czy staniemy na stanowisku etyki niezależnej, czy też wyznaniowej, czy będziemy okazywali jaknajdalej posuniętą tolerancję, czy też staniemy na stanowisku rygorystycznym. To też sprawa ta musi ulec jakiemuś uporządkowaniu, bezład bowiem rodzinny, pomieszanie pojęć w łączącej się z nią anarchją w dziedzinie etyki płciowej przynosi niebywałe szkody moralne społeczeństwu, które dzisiaj w ogółności jest w stanie chorobliwego przewartościowywania, a raczej nihilizowania dotychczasowych podstaw swojego istnienia.

W feljetonach swych musnąwszy zagadnienie to, Boy zajął stanowisko liberalistyczne, zgodne może z interesem jednostki, lecz zbyt mało zwrócił uwagi na społeczne konsekwencje zbyt daleko posuniętej tolerancji. Z sukursem pośpieszył mu Widz z „Epoki“, stale i wytrwale broniący praw człowieka i obywatela w duchu zbliżonym do liberalizmu rosyjskich kadetów.

Feljetyony te wywołały oburzenie i reakcję ze strony „Polaka-Katolika“, który — aczkolwiek zmienił od Nowego Roku szatę i przeszedł na wydawnictwo poranne — nie zmienił swego aroganckiego, nierzeczowego, a przedewszystkiem nacechowanego złą wolą i nienawiścią tonu. Zadnego rzeczowego argumentu autorowie artykułów nie znaleźli, aby zwalczyć lub przekonać swych przeciwników, prócz opartych na nieuctwie inwektyw w stosunku do Boy'a i Widza. A przecież Kościół katolicki na uzasadnienie swego stanowiska w dziedzinie prawa małżeńskiego może wysunąć niejedną słuszną argument, niejedną logiczną konstrukcję. Tymczasem publicyści „Polaka-Katolika“

woleli prowadzić polemikę w płaszczyźnie, niewiadomo skąd przyplątanego antysemityzmu, w której argumentami są intrygi „mędrców Sjonu“, „Masonów“ i tem podobne ukryte siły, zaczerpnięte z archiwów „Gazety Warszawskiej“.

Żałować należy, że jedyny organ oficjalny polskiej myśli katolickiej utrzymuje nadal niedopuszczalny poziom, znany z wystąpień ks. Chrzęszczewskiego, szkolącego w swoim czasie pamięć Żeromskiego, lub sfanatyzowanego ks. Wiśniewskiego.

Niezrozumiałem jest, że dotychczas nie wtrąciła się do tego wydawnictwa Warszawska Kurja Metropolitalna, domagając się podniesienia jego poziomu etycznego, zwłaszcza gdy chodzi o tak ważne w chwili obecnej zagadnienie, jakim jest, jak mówiliśmy, sprawa rozwodów.

Czytelnik prasy codziennej, nie orientujący się bliżej w zagadnieniu, może niemile być zdziwiony, że stanowisko Kościoła Katolickiego nie jest oparte na żadnych przesłankach myślowych, a jedynie na uporze duchowieństwa. A tymczasem tak ino jest!

Nie zatrzymując się bliżej, na razie przynajmniej, nad słusznością, czy też błędnością stanowiska Kościoła Katolickiego — musimy z całą bezstronnością stwierdzić, że podstaw jego szukać należy w Ewangelji, która przecie w światopoglądzie chrześcijańskim jest tem źródłem, które nie może podlegać jakiegokolwiek krytyce. To też pozostają dwie drogi: albo niezależnej autonomicznej etyki społecznej, albo etyki wyznaniowej. Kompromisu między temi drogami niema. Aut — aut!

A. O.

ETAPY PRACY TWÓRCZEJ

Olbrymie dzieło przebudowy ustroju politycznego i odrodzenia moralnego Polski Niepodległej, dzieło zapoczątkowane Czynem majowym Marszałka Piłsudskiego — rzecz jasna nie może być przeprowadzone odrazu i na wszystkich odcinkach życia publicznego.

Gigantyczne plany i zamierzenia Komendanta wprowadzane są w życie etapami, w kolejności odpowiadającej „rzeczywistości rzeczywistej“.

Po przeprowadzeniu sanacji w dziedzinie administracji, w gospodarce finansowej i częściowo w dziedzinie oświaty, z kolei rzeczy należało oczyścić duszną i niezdrową atmosferę, panującą w naszym sądownictwie. A kwestja ta stawać się już zaczęła kwestją palącą. Do pracy tej należało mieć człowieka rzutkiego i energicznego, a przytem rozumnego i rozważnego — więc na czele resortu sprawiedliwości stanął minister Stanisław Car.

W Sejmie, tymczasem, od dłuższego już czasu wałkowano dekret o ustroju sądownictwa, zmieniający organizację sądów pokoju, wprowadzający sądy grodzkie (powiatowe), dekret upraszczający funkcje sądowe. Najważniejszym jednak punktem tego dekretu był paragraf zawierający postanowienie zawieszenia na pewien okres czasu nieusuwalności sędziów z ich stanowisk.

Majestat Prawa Rzeczypospolitej Pol-

skiej — trzeba powiedzieć to wyraźnie — spoczywał częstokroć w niepowołanych rękach.

Rozdział IV konstytucji z r. 1921 w paragrafach od 74 do 86, zakresła bardzo szerokie kompetencje sądownictwu. W sądzie sądownictwo jest w całym tego słowa znaczeniu władzą wykonawczą, wnioskując jaknajgłębiej w życie społeczne, sprawując olbrzymią funkcję wychowawczą niezależnie i sprawiedliwie. Życie, mienie i honor obywatela Rzeczypospolitej spoczywają w rękach sędziego. Jak tymczasem wyglądała szara rzeczywistość? Sądownictwo zostało w sposób karygodny zabagnione przez partyjnictwo. Pierwsze wysiłki i organizacyjne poczynania w chaosie tworzącego się z niczego Państwa, wysiłki twórcze i rozumne pierwszego ministra sprawiedliwości w Rządzie Ludowym — p. Leona Supińskiego — zostały zniweczone przez cały szereg szybko po sobie następujących rządów kleonnych przez partje polityczne. Niezależność i apolityczność sędziowska została tylko czczym frazesem. Wszelkie mianowania odbywały się pod kątem widzenia interesów partyjnych.

Najwyższy dygnitarz sądowy (p. Seyda) prowadził rozgrywkę partyjną z Rzą-

dem Rzeczypospolitej i czyż to nie było najbardziej gorszącym widowiskiem i najgorszym przykładem dla niższych instancyj. Inny znowu dygnitarz Sądu Najwyższego, bawiąc w słynnej katowni w Studzieńcu, uznał, że stosunki tam panowały wymienite, a kary stosowano „ojcowskie“ (było kilka wypadków śmierci na skutek pobicia).

Powaga sądownictwa spadła bardzo nisko i doszło wreszcie do tego, że (w okresie przedmajowym) wojewoda lub komendant policji wyższymi byli dygnitarzami niż Prezes Sądu Najwyższego.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać dłużej. Nie można było dopuścić do ostatecznej poniewierki reprezentacji sprawiedliwości. To też dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o reorganizacji sądownictwa musiał wejść w życie wbrew protestom Trąpczyńskiego, Liebermana et consortes. Zacząć zaś należało od pewnych koniecznych zmian personalnych. Krzywdy żadnej sądownictwu polskiemu nie uczyniono i nie uczyni się w przyszłości, jeno zatęchłą atmosferę się odświeży i Majestat Prawa dźwignie się na te wyżyny na jakich w Republice Polskiej stać powinien.

Na miejsce zdymisjonowanego pana Seydy, minister sprawiedliwości powołał na stanowisko Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego — p. Leona Supińskiego dotychczasowego prezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Obsada ta jest naszym zdaniem najlepszą jaka być mogła. Reprezentacja sądownictwa polskiego w godnych spoczęła rękach. P. L. Supiński jest jednym z najwybitniejszych polskich prawników, a przytem człowiekiem o rzadkich zaletach umysłu i serca. Od lat wielu działacz niepodległościowy. Więziony za działalność patriotyczną przez Moskali i zesłany w głąb Rosji. Po wybuchu wojny bierze czynny udział w życiu obozu legjonowego. Jeden z wybitniejszych działaczy P. O. W. W r. 1918 powołany przez premiera Rządu Ludowego Moraczewskiego na stanowisko ministra sprawiedliwości. Jakiś czas po ustąpieniu Rządu Moraczewskiego piastuje tekę min. sprawiedliwości w Rządzie Paderewskiego, po kilku jednakże miesiącach ustępuje usuwając się z życia politycznego. Ostatnio sprawował funkcje prezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie, ciesząc się wielkim uznaniem w kołach prawniczych.

Z. Tom

LITERATURA — TEATR — SZTUKA

„FANTAZY”

J. SŁOWACKIEGO W TEATRZE NARODOWYM.

Komuby się dziś jeszcze zachciało uczynić wyprawę krzyżową przeciwko romantyzmowi, wyprawę którąś tam już z rządu, ten niepotrzebowałby nic więcej, tylko napisać długi i szczegółowy komentarz do tego dziwnego, jednego z najdziwniejszych w naszej literaturze utworu, jakim jest „Fantazy”. W samej rzeczy, obnażona tu została romantyczno - ukraińska Arkadja w sposób tak bezwzględny i cyniczny niemal, jak tego nie uczynił u nas nikt przed Słowackim, a po Słowackim może tylko jeden Wyspiański w „Weselu” wznieść się potrafił na takie wyżyny autokrytycyzmu społecznego, jakie objawia nam „Fantazy”. Cóż to bowiem za straszny, zakłamaný świat tych „niepoprawnych” Arkadyjczyków z pod Humania czy Białocerkwi, świat estetycznego sztafażu, tych owieczek, pasących się w parku i zepsułych kaskad, mających szumieć muzyką klasycznego Tyburu, świat rozmarzonej, nie ziemskiej maski, pod którą kryje się gruba, twarda, nikczemna właściwie materjalność, połączona z absolutną niezdolnością opanowania przyziemnej sfery „pracy”, realnego bytowania. Zlekceważony, znieawidzony „świat” przemawia tu językiem długów, rujnujących ukraińskich Arkadyjczyków, długów, za które zapłacić można tylko nikczemnem prehandlowaniem ciała i duszy córki, a dawna — czuła, romantyczna dusza, buja sobie w księżycowej poświacie, kąpie się w byrońskich i cmentarnych nastrojach, poetyzuje, marzy i kwitnie, kwiat na bagnisku powszechnej podłości i bezsiły. I tylko zasługi fortuny i pieniądza coś tu naprawdę znaczą — prawda męstwa, heroizmu Jana ma drzwi zamknięte do tej sielankowej świątyni szlacheckiego dworku. Oto tak wygląda wasz świat „niepoprawni” ma-

rzyciele, powiada Słowacki: u góry kłamstwo poetyczności, u dołu nikczemność codzienności. Prawdziwa poezja i prawdziwa realność są tu nieobecne, w tych duszach „błotnych, wiotkich, brudnych”. Bo to świat sentymentalnych upiórów, błakających się pomiędzy niebem i ziemią, umięających gonić tylko senne majaki, zdolnych tylko do „wielkiej” rezygnacji, świat, w którym jeden tylko jest właściwie człowiek z krwi i kości, umięający za miłość swoją krwią zapłacić, ów Moskal — major. I za sprawą jego rzetelności ta sielankowa „komedia” romantyczna zmienia się w prawdziwą tragedję, bo w ostateczności „ktoś musi nie spać, by spał ktoś”, ktoś musi zapłacić krwią za to, by te bezcielesne duchy mogły sobie błędzić „przy księżycu blasku” i kupować panny za pół miliona złotych polskich.

Ten dystans pomiędzy marzeniem i rzeczywistością, obecny nawet w awanturze arabskiej z panią Rzecznicką, musi i powinien być kamieniem węgielnym reżyserskiej konstrukcji „Fantazego”. Nie należałoby się nawet cofnąć przed scenicznym wyjaskrawieniem tego przedziału, aby tem dobitniej podkreślić istotę onej „arkadyjskiej” komedji, tem bardziej uwydatnić upiorną wszytłkich członków rodu fantazowego, a przerysowanie lecz śmiałe rysunku Słowackiego wyszłoby tylko realizacji scenicznej na dobre, tem bardziej, że uprawnia do tego sam poeta, skłębający w końcu akcję w farsowe niemal powikłanie, które przecina dopiero czyn majora. Osterwa, jako inscenizator „Fantazego”, nie uczynił wiele, by dystans ów w pracy swej uwydatnić. Miało się wrażenie, że kreowana przez niego postać tytułowa interesuje go w tej samej mie-

rze, jako postać komedji, co jak postać ukrytej tragedji romantycznej. Czar ukraińskiej nocy i błąkanie się przy księżycu działał na niego w tej samej mierze, więcej nawet, co boleść Diany, Jana, majora. Mówiąc inaczej, Osterwa nie odbył „sądu” nad postaciami, nie sklasyfikował ich, nie przeżył ich, on przyjął je tylko bez próby usfaleńia, jaki jest sens zarówno postaci, jak i samej komedji. „Romantyczne” dekoracje świetnie mu w tem pomogły. Ale też dzięki temu uleciał z inscenizacji teatru Narodowego wszelki sens komedjowy. Nawet w postaci Fantazego nie uzewnętrznił Osterwa tego dualizmu, który pozwala ukraińskiemu romantyzmowi marzyć o nadświatach, a równocześnie doskonale załatwiać „realne” interesy, pokroju kupna Diany. A tylko w tem przecięciu Fantazy jest komedjowy. Osterwa, przychyliwszy nieco szalę w kierunku „realności” postaci, uczynił z niej nie człowieka, prawie nieświadomie korzystającego z małości życia, ale poprostu businessmana, dobrze się orjentującego w sprawach tego świata. Może dlatego wiersz jego nie miał w sobie nic „byrońskiego”, a odznaczał się suchym wypointowaniem, zasłaniającem całą „czułość” romantycznej duszyczki. Tę poetyczno - komedjową rozlewność, której brak było Osterwie, znaleźliśmy w całej pełni u Solskiej, jako Idalji. Winą reżysera było tylko, że rysunek postaci nie dość jaskrawo odbijał się na tle całego widowiska. Natomiast Węgrzyn, rzeczby można, dał nam komedję w potędze. Jan, to obok majora i Diany, jedna z postaci nie upiornie poetyckich, ale żywych, cierpiących, czujących. Węgrzyn pojął Jana tak, jak Osterwa powinien byłby być pojąć Fantazego: jako „czułego” romatyka, jako człowieka, który swe uczucia przemienia w byrońskie

łachmany. Że każde słowo Węgrzyna musiało być przy takim ujęciu zgrzytem, to jasne, choć zarazem niepodobna zrozumieć, jak inscenizator mógł dopuścić do takiego nieprawdopodobnego przemienienia i niezrozumienia „krewanej” przez Węgrzyna postaci. Solski jako Rzecznicki miał, jak się to mówi, wiele dobrych momentów, ale momenty te nie były niczem ze sobą związane, nie umieszczono ich w żadnej perspektywie inscenizacyjnej, zostały więc *disiecta membra*. Interesująco i przekonywująco pojęła swą rolę Halska, wobec której Majdrowiczówna, jako Stella, wyglądała jak kukielka, niewiedomo po co błąkająca się po scenie. Major w interpretacji Chmielińskiego był tem, czem go chciał widzieć Słowacki: jedynym niemal człowiekiem wśród bezcielesnych i bezdusznych zarazem upiorów. Na uwagę zasługuje również Rotterowa, która rolę swoją pojęła dobrze i subtelnie.

Wszystkie defekty aktorskiej interpretacji — wyłączając Węgrzyna — nie raziłyby były tak bardzo, gdyby można było w inscenizacji wyczuć jakąś myśl, jakieś prawo, rządzące poruszającemi się wśród „stylowych” dekoracji postaciami. Ale tego właśnie nie było. Każdy czynił, co uważał za stosowne, bez oglądania się na całość, bez świadomości, iż jest on tylko fragmentem tej arcy-subtelnej budowli, jaką jest „Fantazy”. Wszelkie realistyczne mizdrzenie się na scenie, wszelkie mówienie gdzieś niemal z poza sceny (żeby tak było, jak w życiu!) nic tu nie pomogło, gdy nie było trafnej koncepcji inscenizacyjnej. Dlatego o przedstawieniu tem powiedzieć można, że *laudanda voluntas* teatru Narodowego, dobra jednak wola, to — jak wiadomo — jeszcze nie wszystko.

Wilam Horzyca

„NIEDOBRA MIŁOŚĆ”

Z. NAŁKOWSKIEJ

Słowo Nałkowskiej tak rozkosznie skrzy się w posłuszeństwie myśli, że podobne jest blaskowi słońca, oślepiającego oczy na szerokiej równinie śnieżnej w mroźny dzień.

Romans prowincjonalny Nałkowskiej daje próbę uzasadnienia tezy psychologicznej, iż „charakteru nie ma właściwie, póki rozważamy go w oderwaniu,” a „dopiero obcy świat, następujący zewsząd i zbliżka, wyznacza każdej z możliwości ostateczną granicę”. Na tej zasadzie twierdzi autorka, że z człowiekiem wszystko być może, najbardziej odmienne, najbardziej mu zaprzeczające, najdalej; stąd „nasza złość przylega ściśle do cudzej dobroci, kurczy się od jej wielkości albo ją sobie pomniejsza i ogranicza”; „pożądanie władzy i szczęścia rozrasta się wcale nie w próżnię, ale każdym swem nasyceniem sięga wgłąb cudzej krzywdy”. Dlatego zależność psychiczna jednych od drugich podlega w swej organizacji, narzuconej zzewnątrz człowiekowi, prawom ścisłym, z pod których nic nie

może się wyłamać. Takie jest założenie artystyczne powieści i kompozycji wewnętrznej. Nie uważam za właściwe polemizować z tezą ideową autorki, chodzi bowiem o to, jakimi drogami i sposobami osiągnęła ona swój zamiar w wyrażeniu artystycznym. Moznaby tylko zastanowić się, czy teza zamierzona jest zgodna z usposobieniem autorki, z jej naczelną cechą umysłu i ducha, czy wypływa z samej natury jej przeżycia artystycznego. Zdaje się, że w danym wypadku można odpowiedzieć twierdząco, sądząc z dotychczasowych twórców Nałkowskiej, szczególnie z powieści „Choucas”.

Nałkowska jest intelektualistką o wielkiej kulturze i wrażliwości estetycznej. Umiarkowanie i powściągliwość tamowały w niej zazwyczaj fale nieokiełznanych sił uczucia i tempe-

ramentu, namiętność nie zagrała roziskrzonymi dźwiękami szalonej muzyki. Dlatego też twierdzić można, iż myślowe czysto założenie powieści idzie w ścisłej zgodzie z naturalnym układem artystycznego kierunku pisarki. Zewnętrzne jednak opanowanie się nie zaprzecza istnienia w autorce głębszych pokładów emocjonalnych, tylko nakazuje dokopywać się ich w dyskretnych słowach, tu i ówdzie wtrąconych, w delikatnych obrazach, które malują graficznie momenty krótkich spieć człowieka w obcowaniu z drugim człowiekiem. Intelektualizm Nałkowskiej nie jest tedy zimnym rachunkiem, lecz arystokratyzmem ducha i woalem prawdziwej wstydlivosti uczuć, które nie mogą i nie powinny się postponować wszem wobec. Przez takie stanowisko stwarza się może pewien dystans

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom naszego pisma, iż czas najwyższy odnowić przedpłatę za rok 1929.

Konto czekowe „Przełomu” w P. K. O. 13.044.

ADMINISTRACJA

między autorką a czytelnikiem, lecz wzamian za to zjawia się tem większa pożądlivość wchłonięcia piękna, przez nią stworzonego. Dlatego powieść Nałkowskiej jest naprawdę kobietą w sensie metafizycznym, podobnie jak twórczość poeticka M. Pawlikowskiej. Niestety, nie spotykamy analogicznego zjawiska w książkach Ewy Szelburg i M. Kuncewiczowej, które, jak dotąd, podlegają jakiemś przymusowi, krepującemu swobodę prawdy i szczerości. Wprawdzie i Nałkowska przejść musiała swą drogę „stromą i śliską“, nim się po ciężkich zawodach na jaśnię prostoty wybiła, dziś jednak słowo jej tak rozkosznie skrzy się w posłuszeństwie myśli, że podobne jest blaskowi słońca, oślepiającego oczy na szerokiej równinie śnieżnej w mroźny, wolny dzień. Romans prowincjonalny Pawła Blizbora z Renatą Słuczańską — żywym tego dowodem.

Rzecz dzieje się w mieście wojewódzkim na wschodnich rubieżach państwa, gdzie niezbyt daleko od granicy rosyjskiej. Szczegóły te, zreszta, są obojętne. Akcja tego rodzaju mogłaby być i gdzieindziej, z wyjątkiem wielkiego, stołecznego miasta. Do miasta prowincjonalnego, gdzie kilka osób „wszystko może“, gdzie ludziska cicho a z umiarem i nudą krzątają się około swych spraw powszednich, martwiąc się o troski codzienne niewygodnego, nieurządzonego jeszcze życia po wojnie, gdzie nic nie zakłóca normalnego biegu pożytecznej pracy dźwignia się z pogorzeliisk, — wpadają nagle do sfer towarzyskich dwie osoby: Agnieszka i Paweł Blizborowie. Pani Agnieszka, młoda, żywa, pełna urody i temperamentu kobieta, wnosi piękno swego szczęścia do środowiska „stałych mieszkańców“ miasta. Wszędy jej pełno, nic bez niej dzieć się nie może, jest u wszystkich, wytwarza na wielką skalę ożywienie radosne i czynne, na podobieństwo kamienia, rzuconego w martwą, gładką toń wody. Idą fale za falami od tego kamienia, koncentrycznie jedna za drugą. Ale Blizbor jest zamknięty w sobie, milczący, naładowany, jak akumulator, namiętnością wewnętrzną. Agnieszka zaledwie dostrzeżę żar i skondensowanie uczuć Pawła, żyje bezpieczna w otocze miłości męża, nie zdając sobie sprawy, iż właściwie **wewnętrznie** go dla siebie nie opanowała, nie przypuszczając nawet, by zachodzić mogła tego potrzeba.

Na tem kończy się część pierwsza kompozycji artystycznej powieści, w której mamy ekspozycję charakterów przy wzajemnem zetknięciu się w specjalnych warunkach środowiska społecznego. Jest tutaj odpowiedź na pierwsze pytanie, dotyczące zmian, jakie zaszły w życiu towarzyskiem miasta i we wzajemnem ustosunkowaniu się postaci głównych pod wpływem nowoprzybyłych indywidualności. Teraz następuje część druga powieści, będąca odpowiedzią na zagadnienie, co się staje powoli z Blizborami, **naskutek** wzajemnego ich w gruncie rzeczy nieprzeniknięcia się, w nowem środowisku. Być może, w innych warunkach nie doszłoby do katastrofy, t. j. do ujawnienia się tych cech w charakterze Agnieszki i Pawła, które zdecydowały o dotychczasowem ich t. zw. szczęściu małżeńskim. Stanie się ten fakt już wtedy, gdy Agnieszka będzie matką dziecka, tak niedawno jeszcze upragnionego przez męża. Dziecko zjawia się zapóźno, by mogło uratować sytuację, o ile wogóle miało być czynnikiem zbliżającym wewnątrz Blizborów. Dziecko nie uratuje szczęścia Agnieszki, ponieważ zapóźno zrozumie ona, iż na to, by być kochaną — niedość jest pozwalać się kochać. Dlatego druga część powieści — decydująca — staje się obrazem klęski osobistej Agnieszki, klęski jej piękna,

bez troski i swobodnego stosunku do świata i siebie. Klęskę zewnętrzną wytwarza Renata Słuczańska, kobieta przeciętna, mierna, dość ładna, lecz zdolna do oddania się całkowitego, miękka, mieszczańsko dystygowana i... pomimo wszystko zabierze swą biernością. Jakże to się stało, iż tego rodzaju kobieta, „pełna cnót“, „wypada i nie wypada“, naraz zdobywa się na zerwanie ze wszelkimi „zasadami“, rzuca męża (wprawdzie dużo starszego), i śmiało wyzywa przeciwko sobie opinię społeczną, z którą niezmiernie się dotąd liczyła?

Zmieniają się role: Agnieszka, ta żywa, czarująca młoda kobieta, przygasa, boi się swego cienia nieomal, a Renata, skazana zda się na matronę cnoty po wszystkie czasy, śmiało i odważnie „obnosi się“ ze swem uczuciem.

Teza autorki wytrzymała całkowicie i zgodnie z prawami nieobliczalnych igraszek życia. Czworokąt małżeński, na tle specyficznych warunków środowiska, wyszedł na jaw, bo tkwił immanentnie już w momencie zawarcia związku małżeńskiego Pawła i Agnieszki. Bardzo prawdopodobne, iż w innych okolicznościach rozszczepienie małżeńskie nigdyby się nie wydobyło na wierzch.

Feliks Araszkiwicz

WYDAWNICTWA

„DROGA“

Ostatni numer „Drogi“ (12) przynosi szereg cennych prac, wśród których na szczególną uwagę zasługuje artykuł znakomitego znawcy kultury antycznej, prof. Uniwersytetu Lubelskiego M. S. Popławskiego, p. t. „Sprawiedliwość Romy“, ujmujący w sposób zupełnie nowy i sprzeczny z dotychczasowemi poglądami, jeśli się wyrazić można „narodowościową“ konstrukcję państwa rzymskiego. Autor wykazuje, jak dalece obcy był Rzymianom własny nacjonalizm, zaś cementem spajającym wielonarodowościowe imperjum była głęboka myśl państwowa, chroniąca, a nie niwelująca odrębności narodowe. Wilam Horzyca ogłasza studjum o Stefanie Żeromskim p. t. „Pater ecstasticus“, ukazując duszę wielkiego pisarza w tragicznym patosie płomiennego uczucia i ekstazy religijnej. Studjum wnosi do literatury o Żeromskim nowe idee i świeże ujęcie.

H. Elzenberg snuje ciekawe refleksje na

temat „Nowego Średniowiecza“, oświetlając wszechstronnie tę tak gorąco ostatniemi czasy dyskutowaną ideę, której światła i cienie poddaje autor subtelnej analizie.

W numerze tym znajdujemy również głośną dziś w całym świecie pracę Wernera Sombarta, wygłoszoną przed kilkoma miesiącami na posiedzeniu Towarzystwa Polityki Socjalnej w Zurychu a omawiającą „Przeobrażenia kapitalizmu“, w której znakomity uczony ujmuje istotę przemian gospodarczych doby obecnej. Przemowa ta rzuca mocne światło na sprawę dyskutowanego dziś u nas „etatyzmu“, Jan Ostaszewski ogłasza drugą część swej pracy „Tropem naszych uniwersalistów“, zaś Dr. Z. Madeyski daje studjum p. t. „O reprezentację interesów zawodowych pracy najemnej w Polsce“. Całość uzupełniają dwa utwory poetyczne „Rozmowa ze światem“ Kazimierza Wierzyńskiego i „Dzisiaj Verdun“ J. Czechowicza.

CENA OGŁOSZEŃ:

Nadesłane (1 strona) zł.	800.—
1 strona zwykłe . . . „	600.—
1/2 „ . . . „	320.—
1/4 „ . . . „	175.—
1/8 „ . . . „	90.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Swiat 21, tel. 339-94
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie	zł. 18.—
Półrocznie	„ 9.—
Kwartalnie	„ 4.50

Redaktor i wydawca: Jerzy Szurig

Redaktor odp.: Jan Zimosz

Drukarnia „KADRA“, ul. Długa 50, tel. 186-30.

<http://rcin.org.pl>